

jest to tylko kawałek rzućtego szkła. Czy wyrzucić je?

— By go potem podnieść — dodał Ponderbury, biorąc mu brylant z ręki i oddając Allistonowi.

— Chcę go na wszelki wypadek zachować — rzekł Wilfred. — Uważam, iż jest to brylant, zgubiony przez osobę, która zamordowała mego ojca. Możliwe, że się mylę, nie chcę zaniedbać jednak żadnej, najmniejszej nawet wskazówki.

— Oh, jak pan chce. Sądzę, że nie będzie z tego żadnego pożytku, każdy jednak postępuje według siebie.

— Trudno, by było inaczej — odpowiedział zimno Wilfred. — Teraz jednak muszę już iść — dodał, zwracając się do pana Ponderbury'ego. — Chciałbym jeszcze przed nocą rzucić okiem do szopy. Dobranoc panie Ponderbury, dobranoc panie Muskin.

Przy słowach tych Wilfred wyszedł. Idąc drogą, pogrążony w swych myślach, zdziwił się nagle, widząc otwarty powóz przed drzwiami małej, biednej lepianki.

W powozie siedziała młoda, dwudziestoletnia panna o miłej szczerzej twarzy, ciemnych kręjących się włosach, spiętych pod lekkim słomkowym kapeluszem. Poznając Wilfreda skłoniła się ceremonialnie, poczem rzuciwszy szybko wzrokiem w stronę lepianki, przechyliła się z powozu, jakby chciała mu coś powiedzieć.

— Dobry wieczór, miss Lesterham — rzekł Wilfred, kłaniając jej się z powagą i zatrzymując się na ruch, jaki uczyniła ręką.

— Oh, panie Alliston, pan nie może uwierzyć jak czujemy się przejęci tą straszną wieścią: pan tak wiele musi cierpieć! Jestem bardzo zadowolona, że mam sposobność wyrażenia panu całej swej sympatii i chęci przyjsia panu z pomocą. Ja...

Urwała nie kończąc: Wilfred spojrział w kierunku jej wzroku i ujrzał matkę jej, lady Lesterham, wychodzącą z tego domku. Mijając ogródek, by dojść do powozu, przyłożyła szkła do oczu i spoglądała uważnie na rozmawiających. W przeciwieństwie do swego męża nie okazywała żadnej życzliwości młodemu nauczycielowi i obecnie ze zmarszczką na czole odpowiedziała niedbale na jego ukłon. Była to druga żona sir Johna: nie miała więcej nad czterdzieści lat, blada jej jednak i ostra twarz, odpychała od niej mieszkańców miasteczka, którzy w pierwszej lady Lesterham widzieli swego anioła stróża.

— Przypuszczam — odezwała się łagodnym tonem — że Gracya powiedziała już panu, jak sir John i ja odczuwamy ten straszny wypadek. Nic więcej nie mogę dodać. Żegnam pana!... Do zamku, Jakóbie!

Ostatnie słowa skierowane były do woźnicy, poczem powóz szybko pomknął naprzód.

Wilfred dotknięty tem zimnem przyjęciem, chociaż oddawna był już przyzwyczajony do jej zachowania się względem siebie, przez chwilę pozostał na miejscu, patrząc za odjeżdżającymi. Zdawało mu się, że Gracya obróciła się, lecz zapewne powstrzymana przez macochę, natychmiast cofnęła się z powrotem. Gdy znikły mu z przed oczu, westchnął i poszedł naprzód.

Zwolna zbliżał się do szopy, gdy nagle w odległości kilku metrów zatrzymał się. W środku ktoś był. Bez szelestu podsunął się do drzwi, przez które w chwili tej właśnie wychodził wysoki mężczyzna o dystygowanej powierzchowności, ubrany w elegancki modny garnitur. Spostrzegając Wilfreda, skłonił mu się uprzejmie.

Nauczyciel spoglądał na niego z ciekawością, a zarazem i podejrzliwością, podczas gdy przybysz uchylił znowu kapelusza, wytrzymując ten egzamin spokojnie, a nawet z lekkim uśmiechem, jakgdyby zdziwienie nauczyciela bawiło go.

— Spodziewam się — rzekł wreszcie — że wejście tutaj nie jest wzbronione. Jestem zupełnie obcy w tych stronach, a nawet w Anglii, którą opuściłem już przed wielu laty.

— Miejsce to jest publiczne — odpowiedział zimnym tonem Wilfred, nie mogąc oderwać od niego oczu — narazie jednak szopa ta nabrała pewnego znaczenia...

— Tak, rozumiem. Usłyszałem o zbrodni tej w Londynie. Więc to tutaj Ryszard Alliston znalazł śmierć w tak tajemniczy sposób.

Wilfred pochylił głowę na znak potwierdzenia, patrząc jednak ciągle na nieznanego.

— Przybyłem dzisiaj rano, by zobaczyć miejsce...

— Dzisiaj rano? — przerwał Wilfred, myśląc, czy szczęśliwy przypadek nie naprowadza go na ślady...

— Tak, dzisiaj. Nie mogłem oprzeć się chęci, by nie zobaczyć miejsca, w którym mój nieszczęśliwy przyjaciel...

— To pan znał mego ojca? — zawołał młody nauczyciel.

— Pańskiego ojca! Więc pan jest tym synem, którego przyjechał ujrzyć mój stary przyjaciel?

— Tak, ja jestem Wilfred Alliston — odpowiedział, ściskając serdecznie podaną sobie rękę — Proszę mi wybaczyć me zimne powitanie, lecz w takich okolicznościach jest się skłonny do podejrzenia i ja w tej chwili, ja...



Bez szelestu podsunął się do drzwi, przez które wychodził wysoki mężczyzna.

— Myślałeś pan, czy przypadkiem nie jestem mordercą lub przynajmniej jego spółnikiem, prawda?

— Nie, ja... to jest...

— Oh, to drobnostka, nie zastanawiamy się nad tem. Pojmuję zupełnie pańskie pragnienie rozjaśnienia tej tajemnicy. Jest to dla pana straszny cios. Prawą rękę poświęciłbym, by nie dopuścić do tej wstrętnej zbrodni. Ale jeszcze nie przedstawiłem się — jestem Hamerton, John Hamerton, z Limy w Peru, gdzie mam magazyn.

— Ah, z miasta, gdzie mój ojciec mieszkał. Nie mogę jednak tutaj zatrzymać pana, mój dom znajduje się na przeciwnym końcu miasteczka, czy zechce mi pan towarzyszyć? Nadchodzi już pora kolacji, może pan pozwoli do mnie, swobodniej będziemy mogli rozmawiać w mieszkaniu: pan, przybywając z daleka, zapewne jest zmęczony.

— Z prawdziwą przyjemnością pójdę z panem. Nie zamierzałem dłużej tu pozostać, lecz to nic nie znaczy i tak mnie nikt nie oczekuje w Londynie.

— A więc chodźmy: o tyle rzeczy mam pana spytać się!

— Szczęśliwy będę, jeżeli zdołam panu coś pomódz w tej sprawie.

W milczeniu przeszli przez miasteczko i weszli do domu nauczyciela, gdzie stara i głucha służąca

krzątała się już koło kolacyi. Wilfred z trudnością na poły słowami, na poły migami zdołał jej wytłumaczyć, by nakryła na dwie osoby, poczem wprowadził swego gościa do jadalnego pokoju i zaprosił do stołu.

— Pan więc znał mego ojca. Proszę, niech pan mi mówi o nim wszystko! Tak dawno go nie widziałem i tak mało znam jego życie.

— Byłem w zażyłości z pańskim ojcem, już, zdaje mi się, od dwudziestu lat. Jak to czas biegnie. Razem na jednym statku przyjechalśmy do Liverpoolu i razem jednym pociągiem wyruszyliśmy do Londynu. Spodziewałem się, iż mniej więcej po dwóch miesiącach wspólnie odbędziemy i powrotną podróż. Czyż mogłem przypuszczać, iż rozstając się z nim w Londynie, nie ujrzę go już więcej!

— Czy ojciec mój miał wielu przyjaciół w Peru?

— Przyjaciół? Wszyscy, którzy go znali, byli mu przyjaciółmi. Pan Alliston był prawdziwą opatrnością Anglików w Limie. W całym mieście nie znalazłby pan nikogo, kto by nie mówił o nim dobrze. Jeżeliby jeszcze przed tygodniem powiedział mi pan, że ma on nieprzyjaciela, rozżalowałbym się na to... a jednak...

— A jednak — rzekł Wilfred — śmierć jego jest dziełem nieubłaganej nienawiści. Pewny jestem tego: mój ojciec był biedny i powierzchowność jego nie była taką, by mogła wzbudzać chciwość zawodowych złodziei. W przekonaniu, iż zabójca jego nie był zwykłym opryskiem, umacnia mnie i rzecz znaleziona w tem samym miejscu, gdzie zastałem umierającego ojca.

— Co takiego?

Wilfred wyjął z kieszeni brylant zawinięty w bibułkę i podał go swemu gościowi.

— Zdaje mi się, że to brylant.

— Oh, tak. Zupełnie prawdziwy brylant, znam się na tem, gdyż to należy do mojego zawodu. Niech pan popatrzy, rzekł nalewając do szklanki wody i wpuszczając go do środka: oto najjaśniejszy dowód. Widzi pan, jak brylant błyszczy, mimo iż jest w wodzie.

— Istotnie, widzę — odpowiedział Wilfred, biorąc szklankę do ręki i przyglądając się jej z ciekawością. — Świeci się jak i przedtem.

— Najzupełniej. Jeszcze nigdy nie widziałem, by fałszywy kamień wyszedł z takiej próby zwycięsko, ten jest wobec tego prawdziwy. Poznałem go zaraz po rzućciu i oszlifowaniu, lecz chciałem i ten dowód przeprowadzić, by pana przekonać. Ma się rozumieć, że z powodu niewielkiego rozmiaru, nie ma on wielkiej ceny.

— W każdym razie jest to brylant?

— Zupełnie prawdziwy.

— Człowiek dopuszczający się morderstwa dla małej, nieznacznej korzyści, nie nosiłby podobnych kosztowności?

— Z pewnością. Pan więc sądzi, że morderca miał ten brylant przy sobie w chwili napadu?

— Tak, znalazłem go na ziemi, w miejscu, na które upadł raniony ojciec. Przytem podłoga w szopie, jak to pan zapewne zauważył, jest z gliny na której pozostają odbite najlżejsze odciski nóg. Brylant ten spostrzegłem właśnie w węglębieniu po stopie swego ojca, z czego wnoszę, iż kamień ten został zgubiony po jego tam wejściu. Bardzo prawdopodobne, iż wypadł on zbrodniarzowi z pierścienia w czasie walki.

— Jestem w zupełności pańskiego zdania i przypuszczenie to jest jak najśluszniesze.

— Mógłby kto sądzić, że brylant ten upadł tam potem, lecz do szopy wchodzili tylko tutejsi biedni mieszkańcy, którzy nie noszą tak cennych kosztowności. Zdaje mi się przytem, iż trzeba użyć pewnej siły, by wyrwać brylant z oprawy?

— Bez wątpienia. Czy pan uprzedził już policję o tem odkryciu? Sądzę jednak, iż należy zachować je do czasu w tajemnicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).